MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 20 (19—skonfiskowany) WARSZAWA, 12 MAJA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

ZAGADNIENIE MNIEJSZOŚCI

NIEDAWNE wystąpienia p. Stresemanna w Genewie, jako herolda i orędownika sprawy mniejszości narodowych, oraz ostatnie zajścia w Opolu zwracają ponownie naszą uwagę na doniosłą kwestję mniejszości polskich, pozostałych poza granicami Rzeczypospolitej, oraz mniejszości niepolskich, znajdujących się na naszem terytorjum.

Poza granicami naszego państwa wszędzie na historycznych ziemiach polskich znajduje się silny liczebnie i uświadomiony narodowo żywioł polski, którego jedną z głównych cech jest jego charakter autochtoniczny. Żywioł ten nie jest wynikiem najazdu i nie posiada charakteru pozostałości dawnego imperjalizmu. Składa się on już to z odwiecznych dziedziców swojej ziemi, jak na Śląsku, już to z dawnych osadników polskich, którymi Rzeczypospolita kolonizowała pustkowia na swoich rubieżach wschodnich.

Ten zasadniczy rys charakteru mniejszości polskich nadaje im wyjątkowy walor moralny, który zdawałoby się winien znaleźć konkretny wyraz w obecnem ich położeniu.

Tymczasem, z małemi wyjątkami, we wszystkich sąsiednich państwach położenie naszych mniejszości jest nadwyraz ciężkie. Są one nietylko przedmiotem eksterminacyjnej polityki, ale często bardzo, wobec moralnego poziomu i charakteru państw, do których należą, pozbawione są elementarnych uprawnień, przywiązanych do godności rasy cywilizowanej.

Nasza półmiljonowa ludność na Białejrusi i Ukrainie Sowieckiej, nasza silna mniejszość na Litwie, wreszcie przeszło miljon Polaków w Niemczech są zdane wyłącznie na łaskę swoich rządów i nietylko nie cieszą się na wzór mniejszości w Polsce opieką o charakterze międzynarodowym, ale nieotrzymują nawet skutecznej pomocy i orędownictwa państwa polskiego.

Jeśli obrona naszej mniejszości na Wschodzie nastręcza w obecnym czasie szereg ogromnych trudności, to wpływ Rzeczypospolitej na położenie Polaków w Niemczech przedstawia daleko więcej praktycznych możliwości. Chociaż bowiem nie łączą nas z Niemcami uregulowane stosunki sąsiedzkie i co za tem idzie nie da się ująć tej sprawy w formę stypulacyj międzynarodowej natury, to jednakże możemy pokusić się o ulżenie losu naszych rodaków, ponieważ posiadamy w swoich granicach 800.000 Niemców, na których narodowi i państwu niemieckiemu bardzo a bardzo zależy.

Nawet powierzchowne porównanie położenia Polaków w Niemczech i Niemców w Polsce jest najlepszym dowodem na to, że w tej sprawie dałoby się jeszcze wiele zrobić.

Przeszło miljonowa ludność polska w Rzeszy, ludność tubylcza, od prawieków siedząca na własnej swojej ziemi, znalazła się obecnie w takiem położeniu, że posiada zaledwie kilka szkół polskich, w których uczy się dosłownie 820 dzieci. W tym samym czasie ludność niemiecka u nas, ludność napływowa, osadzona przeważnie przez rządy zaborcze, nie tylko cieszy się zamożnością, wolnością zrzeszeń i t. p., ale uczy 100.000 swoich dzieci w szkołach specjalnie dla niej utworzonych i w jej języku ojczystym prowadzonych przez państwo.

Ponadto rządy polskie do dnia dzisiejszego nie wprowadziły w życie szeregu uprawnień likwidacyjnych, przyznanych Polsce traktatem Wersalskim. Dzieje się to pomimo stałego ucisku ludności polskiej w Niemczech i pomimo stale powtarzających się prób kwestjonowania naszych praw do Pomorza i Górnego Śląska.

Wszystko to zrobiono w imię „świętej zgody“ i spokojnego współżycia z zachodnim sąsiadem; nasuwa się jednakowoż obecnie pytanie: czy zrobiono dobrze? Czy polityka taka nie jest uważana przez Niemców za przejaw słabości i czy nie pociąga za sobą, jako nieuchronnego następstwa, jeszcze większego ucis-

nienia ludności polskiej, pozostałej w granicach Rzeszy. Jednocześnie też nasuwa się pytanie, czy nie zachodzi konieczność zrewidowania naszej polityki mniejszościowej i oparcia stosunku do Niemców, mieszkających w Polsce, na zasadzie chociażby względnej wzajemności?

Wytworzyło się bowiem wysoce paradoksalne położenie, którego nie zniesie żaden żywy naród, mający poczucie własnej godności i zrozumienie elementarnych swoich obowiązków. Z jednej strony napływowa ludność niemiecka korzysta na ziemi polskiej ze wszystkich uprawnień, zagwarantowanych w Konstytucji i traktacie o mniejszościach, a w dążeniach swoich zmierza do wywalczenia dla siebie zupełnej autonomji kulturalnej, z drugiej strony, tuż za granicą polską, osiadła od wieków na swojej własnej ziemi ludność polska, od stuleci wynarodawiana i gwałtem niemczona, pozbawiona jest nietylko wszelkiej gwarancji międzynarodowej, ale nie otrzymuje nawet orędownictwa i pomocy ze strony własnej macierzy. Z tym stanem rzeczy pogodzić się nie można tembardziej, że Niemcy stale robią usiłowania, ażeby z kwestji praw mniejszości narodowych w Polsce i z całego naszego zagadnienia narodowościowego uczynić potężne narzędzie, przeznaczone do rozsadzania i osłabiania naszego państwa.

Posiadając 30% mniejszości, Polska na tym punkcie musi być bardzo przezorna i ostrożna. Narzucony nam na konferencji Wersalskiej traktat o mniejszościach stwarza cały szereg możliwości obcej ingerencji do naszych stosunków wewnętrznych. Zważywszy uprawnienia, jakie mniejszościom w Polsce udziela Konstytucja, traktat ten nie przedstawiałby większego niebezpieczeństwa, gdyby nie polityka niemiecka, która skłonna jest uczynić z niego jeden ze środków walki z Polską.

Znane są powszechnie praktyki niemieckie na Pomorzu i Śląsku; nie jest również tajemnicą, że ognisko kierujące i sycące ruch antypaństwowy separatystów ukraińskich znajduje się w Berlinie. Równocześnie p. Stresemann forytuje siebie w Lidze Narodów na obrońcę i opiekuna „uciśnionych" mniejszości i zabiera się do stworzenia specjalnej „procedury mniejszościowej", przy której pomocy mógłby podtrzymywać ciągły stan wrzenia na terenach, na których to uzna za stosowne. To wszystko jest poważną groźbą dla naszego bezpieczeństwa wewnętrznego i naszego stanowiska nazewnątrz.

Nasuwa się pilna konieczność poddania rewizji dotychczasowej naszej polityki narodowościowej i wyciągnięcia wszystkich wniosków z tego, co chcą z niej uczynić nasi przeciwnicy. Sądzimy, że musimy w tym względzie liczyć na poparcie tych państw i narodów, które już to podobnie, jak my, obdarowane są traktatem o mniejszościach, już to skłonne są organizować pokój i równowagę europejską na stałych podstawach logiki politycznej i szanowania uprawnionego instynktu samozachowanego organizmów państwowych. Czasy się jednak zmieniły i Polska w roku 1929 nie jest Polską z przed lat dziesięciu.

Dla Polski zbliża się okres ciężkich walk o swą całość terytorjalną przeciw rosnącym dążeniom odwetowym Niemiec. W miarę zmiany stosunków nad Renem wystąpienia niemieckie będą coraz wyraźniejsze i zaczepniejsze. Chcąc się bronić skutecznie, trzeba rozpocząć politykę stanowczą i śmiałą. Polityka ta, za którą wypowie się cały naród, musi mieć na względzie i to również, ażeby wszelkiemi sposobami obronić polską mniejszość w Niemczech i nie dopuścić do tego, aby z naszych zobowiązań narodowościowych uczyniono taran do rozbijania całości i spoistości Rzeczypospolitej.

ZYGMUNT BEREZOWSKI

WSZYSTKO ZAPOMNIEĆ—WSZYSTKO PRZEBACZYĆ

NIEDAWNO w brukowym, prorządowym „Czerwonym Kurjerze" warszawskim pojawiła się wiadomość o puszczeniu w obieg nowych banknotów dolarowych, wobec czego dawne miałyby zostać wycofane w bardzo krótkim czasie. Pogłoskę tę puściło w kurs biuro prasowe B.B. Odrazu się widziało manewr podejrzany. To też zaraz zaprzeczyło tej wiadomości poselstwo amerykańskie, lecz „Kurjer" przez dłuższy czas nie zamieścił sprostowania.

Być może, biuro prasowe B. B. podrzuciło „Kurjerowi" tę kaczkę w chwalebnym, choć nieco naiwnym zamiarze zwiększenia dopływu dolarów do kas Banku Polskiego. „Kurjer" pochwycił dziennikarskiego ptaka i nie podskubawszy go nawet, wywiesił odrazu na sprzedaż uliczną w czerwonej witrynie swego sklepiku.

Jaki wynik tej imprezy handlowej? Oto kilkaset telefonów, niepokojących redaktorów czerwonej prasy i... pewna ilość dolarów sprzedanych za pół darmo przez naiwnych czytelników „Kurjera" w ręce zawodowych handlarzy walutą. Czy Bank Polski dużo na tem zyskał, śmiemy wątpić. Ci „zawodowcy" nie garną się z dolarami do kas przy ul. Bielańskiej.

W każdym innym kraju reagowanoby na taki postępek fizycznie. Broń Boże, nie namawiamy nikogo do czynów, przewidzianych Kodeksem Karnym, wygłaszamy jedynie pogląd z zakresu psychologji społecznej.

Czemu u nas nikt nie reaguje? jest to zagadnienie, nad którem warto się zastanowić. Jest to fakt stwierdzony, że u nas uchodzi bezkarnie wiele takich „kawałów", które gdzieindziej wywołałyby odrazu odpowiedź niedwuznaczną. Podobnie całkiem, jak głośne kłamstwo o rzekomych strzałach w Sulejówku przed trzema laty, od Królowej Warszawy do wycofanych dolarów, od teorji o fabrykacji pieniędzy za pomocą prasy drukarskiej aż po pana Bartlowe zapewnienia w Krakowie, że bilans handlowy zaraz po wyborach się poprawi, od obietnic pozostawienia p. Seydy na stanowisku aż do „Posejdona", poprostu całe „od socjalizmu do nacjonalizmu i z powrotem"—nic w Polsce nie domaga się dalszego ciągu, jakiejś konsekwencji. Nikt nie reaguje.

Czyżbyśmy grzeszyli brakiem konsekwentnej myśli? Czyżby w naszem rozumowaniu dwa razy dwa nie

zawsze równało się czterem? Nie śmielibyśmy naszym ziomkom imputować podobnego braku klepki arytmetycznej w głowie, ale... skąd u nas te zachwyty nad kapitanami, co wprzód robią, zanim pomyślą? Trzeba odrazu zastrzec się objektywnie, że przy odpowiedniem wzięciu się w ryzy umiemy jednakowoż myśleć logicznie. Nie lubimy tej prozy, ale przy pewnym wysiłku udaje się nam obedrzeć nasz proces myślowy z kwiatów.

Mimo to jednak w rezultacie praktycznym tak wnioskujemy częstokroć, jakbyśmy skakali na jednej nodze. Wtedy udział w przewrocie majowym staje się ojcem logicznym „pepeesowskiej" opozycji, zaś oganianie się od reformy rolnej—matką logiczną sojuszu z głosicielami wywłaszczenia. Skąd się to bierze?

Oto tryb wnioskowania pozostaje prawidłowy, nastąpiła tylko zmiana przesłanki skutkiem braku pamięci. Zapominamy o zasługach i zbrodniach z równą łatwością. Ośmieszamy fundatora pomnika Grunwaldzkiego i... zapominamy co rychlej winy tym, którzy sprzymierzeńców Koalicji denuncjowali wobec austrjackich władz wojskowych. Jedną ręką osłaniamy sekciarstwo, a drugą bijemy się w piersi, że w obronie Kościoła gotowiśmy polec.

To nie zła wiara — to tylko brak pamięci. Nic nas nie obowiązuje. „A" łączy z „Z" nie alfabet, lecz... improwizacja.

Oto rażąca cecha pokolenia, które stworzyło Polskę dzisiejszą. Temu pokoleniu zawdzięczamy antynomje polskiego życia, nie będące właściwie sprzecznościami, gdyż są jedynie zespołami sprzecznych sądów, nie związanych ze sobą żadnym łańcuchem wnioskowania, lecz istniejących niezależnie od siebie.

Weźmy dla przykładu dwa sądy, zbudowane w myśl schematu syllogizmu „Barbara": 1) Wszyscy ludzie, którzy w czasie wojny światowej szli w przymierzu z państwami centralnemi, są ludźmi, którzy stawiali—jak wyraził się p. Wł. Studnicki—na zdechłą szkapę. 2) Wszyscy ludzie, nadający barwę polityczną Polsce dzisiejszej, są ludźmi, którzy w czasie wojny światowej szli w przymierzu z państwami centralnemi.

Wniosek, jakiby wyciągnął Arystoteles: Wszyscy ludzie, nadający barwę polityczną Polsce dzisiejszej, są ludźmi, którzy stawiali — jak wyraził się p. Wł. Studnicki — na zdechłą szkapę.

Wniosek, jaki wyciąga Polak z całą skwapliwością: Nie przeszkadzajmy: Niech ci ludzie pokażą, czy potrafią postawić trafnie.

Jak się to dzieje? Oto nim czas postawił przed nami drugą przesłankę, już pierwsza uległa zapomnieniu. Gardząc pamięcią, wyinaczamy i przeszłość historyczną za podszeptem legend lub, co gorsza — świadomych twórców legend.

Historję piszą dla nas ludzie, umiejący konstruować logicznie i wiązać teraźniejszość z przeszłością, jak autor „Łukasińskiego", o którym w żydowskim „Naszym Przeglądzie" pisze p. S. Hirszhorn w artykule, zatytułowanym: „Wielki Polak, mason i filosemita", pomieszczonym w numerze z dn. 3 kwietnia r. b.:

„Jeszcze zanim znane było wyrażenie „esseista" w nowszem znaczeniu tego słowa, jako historyk-beletrysta, Polska miała swego wielkiego „esseistę" w osobie Szymona Askenazego. Jest przytem zjawiskiem charakterystycznem, że podobnie jak najwięksi esseiści zagraniczni (np. Emil Ludwig, Stefan Zweig, Maurois, Aldanow) są Żydami, tak i w Polsce wybitnymi esseistami są Askenazy, a ostatnio i Belmont. Nie jest to przypadek, bo esseista posiadać musi zalety historyka i publicysty, uczonego i powieściopisarza, ścisłość i fantazję, zdolności zgłębienia dziejów i ich popularyzację dziennikarską. A w lekkiem przyrządzaniu ciężkiej strawy Żydzi są mistrzami".

Nic dziwnego, że są mistrzami, posiadają bowiem wybitnie tę pamięć, której nam właśnie brak, ten „zmysł historyczny", karzący za zbrodnię aż do dziesiątego pokolenia. Nic dziwnego, że są mistrzami, oświetlającymi nam naszą przeszłość według własnych rachub, skoro — w przeciwstawieniu do nas — są narodem, o którym wybitny ich filozof, Hans Kohn tak mówi:

„Jedyna w swej sile świadomość dziejowa ożywia ten lud, przenika każde jego dzieło, wszystkie jego czynności, daje mu jego trwałość i pewność, które inaczej nie dają się wyjaśnić".

Lenistwo i dobre serce każą nam zapominać wszystko. Dlatego to szkoły historyczne tworzą u nas ludzie, o których „Nasz Przegląd" mówi śmiało: „nasi", esseiści, łączący „zalety historyka i publicysty", „uczonego i powieściopisarza", „ścisłość i fantazję". Ile zaś w „Łukasińskim" ścisłości uczonego historyka, ile zaś fantazji powieściopisarskiej publicysty, o tem może poinformuje nas kiedyś znowu „Nasz Przegląd", gdy po wyjściu drugiej części arcydzieła pomieści dalszą recenzję o twórczości „wielkiego Polaka, masona i filosemity".

Nasi romantycy, żyjący radosną teraźniejszością, zdążą tymczasem zapomnieć o pierwszej recenzji, gdyż przysłowie francuskie: *tout comprendre c'est tout pardonner* ujęli prościej: *tout oublier c'est tout pardonner.* „Nasz esseista" lub jakiś godny następca „wielkiego Polaka, masona i filosemity" znajdzie więc bez trudności wyznawców wśród polskiej inteligencji, tak samo jak dolarowy „Kurjer Czerwony", po latach pożycia z tysiącami czytelników, zbuduje sobie w okolicy placu Mokotowskiego całą dzielnicę pałaców.

A może przecież nastąpi — mówiąc stylem, dziś modnym — na odcinku polskiej naiwności załamanie frontu?

HENRYK ROLICK

NOWY SHAW

G. B. Shaw ma obecnie lat 73.

Żydów w Anglji jest 0.3 proc. ludności.

Roczny dochód z dzieł i sztuk G. B. S. wynosi *plus minus* 20.000 funtów, podczas gdy majątek osobisty znakomitego pisarza radykalnego, autora „Socjalizmu dla miljonerów" oraz „Wskazówek dla kobiet inteligentych w dążeniu ich do socjalizmu" (1929) obliczają w Anglji *plus minus* 500,000 funtów szterlingów.

Nadto G. B. S. jest antyalkoholikiem i jaroszem. czyli wegeterjaninem,

Podnosi się tu na początek te małe *imponderabilia* z tego powodu, że przedstawiają one stosunkowo wielką wagę dla każdego autora, jako podstawy żelazobetonowe do całkiem swobodnego, niczem niekrępowanego, pełnego wyrażania swych myśli, bez poddawania ich poprzednio jakiemukolwiek filtrowi partyjnemu, społecznemu, politycznemu. Łatwo to bowiem zostać równocześnie i „Wolterem" i „Moljerem" naszej ery, gdy się i materjalną posiada niezawisłość i z rękodziełem dziennikarskiem nie potrzeba mieć nic wspólnego, nadto jeszcze, gdy nie obciąża się organizmu

bydlęcem mięsem (i to w krainie „bykożerców“). Nadto gdy nie ma się nigdy pod uwłosieniem, przyproszonem siwizną, mózgu zaprószonego alkoholem. Wtedy dopiero można czystą, prawdziwą, absolutną prawdę wykładać i rżnąc współcześnikom, co się zowie. I zostać i Wolterem i Moljerem naszej ery...

G. B. Shaw, mając do dyspozycji w bankach tyle funtów sterlingów, może sobie śmiało, często i hojnie dawać światu kilka funtów prawd niepodległych i nieporównanych, może sobie ciąć sztychem raz w prawo, raz w lewo, raz w środek, szargać świętości brukowe, walić na odlew w Wielką Brytanję i recytować impertynencje swojej bliższej, ściślejszej, ojczystej ojczyźnie, Irlandji. Nie będąc zmuszonym do schodzenia na ulicę, na Fleet-Street (dzielnica gazet) do mieszania się w problemy i polemiki codzienności, może sobie zachować dobry wzrok i z lotu ptaka, z odległej, szerokiej, dalekiej perspektywy patrzeć na widowisko nowoczesności, ogarniając wszystkie horyzonty.

Takiemu to dobrze. Takiemu Anglikowi, którego czyta cała cywilizacja, łatwo także i tym, w których języku pisze, prawić stale, systematycznie, chronicznie, nałogowo od lat trzydziestu w książkach trzydziestu rzeczy najdotkliwsze, najboleśniejsze, najobraźliwsze, najbardziej dojmujące i dopiekające.

Niema tomu shawowskiego, gdzieby imperjalizm, merkantylizm, świętoszkowstwo, *correctness*, pruderja, purytanizm, humanitaryzm i prussjanizm angielski nie dostawały cięgów i razów. Niema komedji shawowskiej, gdzieby *gentry* angielska, obyczajowość, manjery i szablony myślowe burżuazji, gdzieby wszystkie instytucje i cudowności angielskie, ich wielki przemysł i wielki idealizm, marynarka, armja, „armja zbawienia“, dyplomacja, parlamentaryzm, lojalizm, fabjanizm *City*, kolonje, recepty na rządzenie kolonjami nie zostały wykpione. No! a to przecież *First nation* między narodami! Dostawało się po drodze i Rzymianom, i Gallom, i Francuzom, i Amerykanom i Rosjanom (nieudała „*Great Catherina*“ i Polakom, względnie Polkom (Lina Szczepanowska i Amelia Szczymplica z powieści o życiu cyganerji) ale zawsze wracało się na pierwszą wyspę Johna Bulla, do zwykłych adwokatów, kupców, profesorów, bankierów, ministrów, doktorów, dyrektorów, parlamentarzystów; „Cezara i Kleopatrę“ pisało się, żeby dać Britannicusa, „Dziewicę Orleańską“, żeby dać przeparodjowaną postać kapelana patrjoty, księdza Stogumber, *tuba sonans* dzikiej megalomanji anglosaskiej.

W pomniejszeniu olbrzyma wielkobrytyjskiego dochodzi Bernard Shaw do psychozy, do formalnej obsesji. Poprostu bawi go i podnieca ciągłe prowokacyjne obrażanie dumy i psychiki angielskiej i rwanie, nie dotykanie, rwanie dyssonansowe strun najczulszych. W jednej ankiecie politycznej oświadcza, że bitwę Jutlandzką wygrali nie admirał Beatty, nie admirał Jellicoe a niemiecki admirał Scheer. W innej ankiecie o kuchni odpowiada, że angielska kuchnia jest najgorsza, francuska dobra, a niemieckie gospodynie i ich pokarmy najlepsze. W bardzo nieudałym paszkwilu wyraźnie daje Lloyd'a George'a jako Joyce-Burge'a, a Asquitha jako Lubina. Od czasu do czasu wyszydza i szarga świętości najświętsze: Biblję jako prapoczątek wszelkich militaryzmów i imperjalizmów i dwór angielski jako środowisko literacko i artystycznie nieinteligentne. Parlament nazywa: „głupią piwnicą zdobną w gotyckie wieże“, nową popularną prasę rżnie w „*Press-Cuttings*“ („Wycinkach z gazet“), gdzie też dosłownie bez litości prezentuje znane figury polityczne. O przetrzepywaniu skóry torysom i *diehard*'om oczywiście niema co przypominać. Socjalistom dostało się ostatnio w apologji i apoteozowaniu... Mussoliniego. Ten genjalny Irlandczyk rżnie pasy ze swoich „krajanów“ Irlandczyków i „na złość im“, dla przekory wychwala... Szkotów.

Ten wielki Anglik nie tylko nie oszczędza, ale rozpalonem żelazem „kuruje“ i leczy Anglików ...dochodząc w swych aroganckich ofensywach aż do ...pomiatania Szekspirem, co jest już zgoła groteską wobec tego, że jego globowa nieśmiertelność, porównywana z ...wolterowską i moljerowską, skończy się mniej więcej w pięć lat po jego oby najdłuższym żywocie. O Szekspirze zaś równocześnie z p. G. B. Shaw oczywiście nie mówimy.

Czy atoli jest jakiś naród na świecie, jakiś doborowy, wybrany naród, *chosen people*, któregoby G. B. Shaw oszczędzał, któregoby nie „tyrpał“?

Otóż pozornie: tak. Pozornie, sądząc po solidarnej, światowej, punktualnej, obowiązującej, stałej a wrzaskliwej, jerychońskiej i już nieznośnej shawizmu reklamie, takim narodem jest *chosen poeple* żydowski. Wszystkie pióra semickie są Shawowi tak wierne, tak poczuwają się do obowiązku obligatoryjnego obkadzania go, do stawiania zawsze za przykład, do cytowania i zachłystywania się nim, że mogłoby się zdawać pozornie... no to i G. B. Shaw jest chyba pro-Syon, pro-Palestyna, pro-Shylockracy...

Tymczasem tak nie jest, choć w danych konstelacjach i konjunkturach takie możnaby odnosić wrażenie. Istotnie bowiem przy tych 0,3 proc. domieszki ludnościowej żydowskiej trójkrólestwa, zaczem przy cyfrze o 150.000 mniejszej od cyfry Żydów w jednej tylko Warszawie! G. B. Shawa względnie można byłoby zaliczyć do tej kategorji pisarzy, którzy idą żydostwu na rękę i ręka w rękę, zyskując na tem światową „protegę“ i reklamę. Coby atoli było, gdyby procent sięgnął do cyfry 1,3, 10.5, 11.9, gdyby pewnego pięknego poranku Londyn obudził się z taką cyfrą Izra-elity, jaką ma np. stolica Polski?

Otóż stawiamy tu hypotezę, że przy takim procencie, jaki ma Warszawa t. j. 38,9—G. B. Shaw byłby najzacieklej „antysemickim“ pisarzem, jakiego dotychczas wydała ludzkość, najfanatyczniejszym żydożercą, wobec którego zbladłby antysemityzm Goethego, Dostojewskiego, Balzaca...

Postaramy się to udowodnić czarno na białem, opierając się na kapitalnych poszlakach i bajecznym materjale dowodowym. Cokolwiek przedtem cofniemy się wstecz.

Anglicy są prosemiccy, tak, przy 0,3 proc. Nadto Żydów mają nie *aszkenazim* lecz *sephardim*, *spaniole*, *species* arystokratyczną, intelektualnie wytworną; nieliczne skupiska *aszkenazim* są w Londynie tylko na przedmieściach Whitechapel, Shepherdsbush, Golden-Green, Hampstead. Imperjum stworzył i ugruntował, (co tu ukrywać) d'Izraeli-Beaconsfield, przyjaciel Wiktorji. Istnieją tam dwa bardzo ciekawe towarzystwa: *Anglo-Israel-identity-Society* oraz *British Ephraim's- Church - Mission*. Mają one na celu propagować tezę, że Anglicy pochodzą od Semitów, od zagubionych Ephraimitów. Stary Testament jest świętą księgą każdego Brytanina; Księga Estery biblją imperjalizmu. Od Waterloo przyjaźń jeszcze się wzmogła. Najulubieńsze w społeczeństwie imiona—to biblijne, zatem żydowskie. Szekspira „Kupiec Wenecki“ jest jego najmniej w Anglji popularnym dramatem. Promiskuicja rasowa dość częsta. Matka generała Armji Zbawienia, Boothy, była ponoć Żydówką, matka Kingsleya (twórcy chrześcijańskiego socjalizmu) Żydówką. Lord Balfour

jak wieść niesie dwa razy ożeniony był z Żydówkami, lord Curzon raz, ale wystarczy. Nie tylko u socjalistów dużą rolę grają Żydzi, i u liberałów (jak to nawet u nas wiadomo), ale i u konserwatystów, co mniej wiadome. W dynastję weszli przez Casselów (księżna Battenberg) nadto są tam rody mocno z Żydami związane (Devonshire, Warwick, Fitzgerald i inni). Tak zwane „papiery antysemickie" (książki, pisma, broszury i gazety) są mówiąc po giełdziarsku, *sticky*, nie idą, przylepiają się do rąk. W prasie, od czasów Blowitza i Reutera, Izraelitów dużo.

A jednak? A jednak choć tam Żydów tylko 0,3%, to przecież Marlowe napisał... „*The Jew of Malta*" ...Dickens dał w „Oliwerze Twiście" typ straszliwego nauczyciela i mistrza złodziei i zbrodniarzy Fagina... Thackeray zaś w powieści parodystycznej „Codingsby" (Disraelego powieść nosiła tytuł „Conningsby") uwiecznił antypatyczną figurę aroganckiego, demonicznego Rafaela Mendozy.

Mendozy? Gdzieś się to nazwisko spaniolskie powtarza? Ale gdzie? Otóż właśnie u B. Shawa, po latach znów wypływa taki Mendoza z powieści Thackeraya, ako figura główna w „*Man and Superman*" (1905).

„Człowiek i Nadczłowiek". Wielki, potężny organizator, były kelner, później lord, genjalny herszt bandy eksproprjatorów, zaczem postać na największą skalę. Żyd z Ghetta, ale urodzony przywódca, despota o suggestywnej, negatywnej sile rozkazywania. Ta sztuka Bernarda Shawa o nadchodzącym nadczłowieku, to poprostu długa, rozłożona na głosy i role dyssertacja o... grożącem niebezpieczeństwie... Shylockracji. Wskazuje na to cały szereg zdań, paradoksów, shawizmów: „Żyd zawsze jest tylko przywódcą", „zniesienie kapitalizmu jest utopją"... i t. p. Należy istotnie podziwiać, jak genjalny farsista filozoficzny przewidział wielką karjerę polityczną sir Alfreda Monda... dzisiejszego lorda Melchetta. Aby wydedukować, do jakiego stopnia „Człowiek i Nadczłowiek" przepełniony jest alarmującem ostrzeżeniem przed Shylockracją, należy tylko Mendozę Shawa zestawić z Mendozą Thackeraya... no i czytać między wierszami. Pozorna obrona cerebralnych walorów triumfującego szelmostwa przy tendencyjnem przejaskrawianiu amoralności całego fenomenu ludzkiego: Mendoza. Mendoza!

Obok Mendozy drugi archityp Shylockracji: Latzarus. Jakże popularne bankierskie nazwisko i w Paryżu i w całej W. Brytanji: „Bracia Latzarus". Sztuka nazywa się „Major Barbara". Pozornie ma wyszydzać Armję Zbawienia, jej bezsilny humanitaryzm, jej zabawną, obrzędową śmieszność. W gruncie rzeczy znowu ostrzeżenie przed... pansemityzmem. Co góruje nad całym światem tej komedji? Firma „*Undershaft & Latzarus*". Ale tylko połowa firmy występuje na scenie. Latzarusów jak i Geldhabów samych na teatrze obnażać i smagać nie wolno, jeżeli się nie chce raz na zawsze stracić wszelkie szanse i nadzieje na nieśmiertelność, no i... na tantjemy.

Na scenę zatem dostał się tylko aryjski Undershaft. Ale to wszystko, co on mówi i co on reprezentuje, to przez niego przemawia zatajona za kulisami świata potęga Shylockracji, *upper ten thousand*, wyższe dziesięć tysięcy giełdziarzy, rządzących globem. Jakto mówi Undershaft do młodego syna, reprezentującego idealizm, zdrowie, siłę, młodość i patrjotyzm normalnej Anglji:

„UNDERSHAFT (z akcentem brutalności): Rząd twojej ojczyzny? Hahaha. Ja jestem rządem twojej ojczyzny! Czy przypuszczasz, że tuzin takich dyletantów jak ty, siedzących rzędem w tym głupim lamusie, zdobnym w gotyckie wieżyczki (parlament angielski), może rządzić Undershaftem i Latzarusem? Nie, mój przyjacielu, ty zawsze będziesz robił to, co nam się opłaca: będziesz prowadził wojnę, gdy my chcemy wojny".

Nam... my... To znaczy tym wielkokapitalistycznym rekinom, tym ciężkoprzemysłowcom, armatorom, baronom węglowym, niklowym, naftowym, którzy idą ręka w rękę z Latzarusami... z Mendozami... z Mondami... W „Majorze Barbara" jest ostrzegająca, alarmująca apoteoza cezaryzmu bankowego i kapitalizmu-bandytyzmu. Cała djalektyka, gadulstwo, grandilokwencja, żonglowanie sofizmatami, akrobatyka paradoksów służy Shawowi tylko na to, aby poza potęgą armatnich odlewni olbrzymiego zakładu (odmiany angielskiego Kruppa) uwydatnić gdzieś w głębi, wysoko, jeszcze olbrzymszą supremację i hegemonję książąt ciemności, genjalnych, lucyferycznych Latzarusów, dynastji Latzarus...

0.3 procent wynosi cyfra Żydów w ludności W. Brytanji, a jednak najbardziej jako prosemita pronosowany pisarz radykalny daje... Mendozę i Latzarusa.

Tak bowiem na te dwie sztuki G. B. Shawa należy się zapatrywać po pewnej mało znanej, krótko rozgłośnej, szybko utopionej, chytrze przyduszonej aferze, jaką autor cudnej „Candidy" miał dwa lata temu.

Ponieważ to jest właśnie ten moment zwrotny, od którego inaczej należy patrzeć na znakomitego rezonera nowoczesnej kultury, przeto aferę przytłumioną przypominamy.

G. B. Shaw, potencjalny, zaczajony rasowiec „antysemita", wystawiał w Paryżu „Joannę d'Arc". Krytyka przyjęła to sztywnie. Wtedy zirytowany, stary i nieco zgrymaszony jarosz wyrżnął list długi do „*Tempsa*", zarzucając francuskiej twórczości scenicznej bezpłodność ideową, prowincjonalizm, sklerozę i t. d. Mogło być potem cicho, ale nie było, bo w szranki wystąpił pewien rycerz odważny. W żargonie żydowskim taki typ nazywa się „*Żekele Bloffer*", we francuskim dramatopisarstwie: J. Bernstein. „Gdy rzecz pikantna i fajna, zawsze któregoś Bernsteina". Bulwarowy dostawca sensacyj o „kokotach z towarzystwa" i „panienkach z dancingów", potentat, oczywiście odezwał się arogancko. W obronie niby to pokrzywdzonych autorów francuskich,—inny się jakoś nie znalazł! Musiał *ausgerechnet*: Bernstein. I wtedy starego, już przeszło siedemdziesięcioletniego pana Shawa ogarnęła nagle szewska, irlandzka, celtycka, aryjska pasja. Co tu obwijać w bawełnę: „zwymyślał Żyda od ostatnich". W liście publicznym do Pawła Soudaya, recenzenta „*Tempsa*" odmówił Bernsteinowi - „intruzowi" prawa występowania w rzecznictwie francuskich autorów. Nazwał go „człowiekiem Wschodu", „na wskroś synem Wschodu", „bałwochwalcą" i pisał dalej:

„Znamienną i piękną słabością Żydów jest to, że zawsze podnoszą swe ideały na wyżyny bożyszcza".

„Żydzi francuscy gotowi są paść nawet przed bylejakim Francuzem i czcić go, jak ongiś czcili złotego cielca..."

Dalej:

„Uważam, że Żyd staje się śmiesznym, gdy rzuca się do obozu imperjalistycznego, potrząsa sztandarem narodowym tego kraju, gdzie mieszka i usiłuje być, jak to czynią niektórzy Żydzi francuscy, bardziej Francuzem niż sami Francuzi, lub jak to czynią niektórzy Żydzi angielscy, bardziej Anglikiem niż przeciętny Anglik".

Na końcu zaś coś do słuchu i o długim nosie Bernsteina!

Słowem: *Tout comme chez nous... chez moi...*

Już na drugi dzień zaraz wystąpił Bernstein z „odprawą". Spokojnie i bezczelnie, arogancko i wytwornie, z melancholją i z godnością, coś *à la* nasz pan Wassercug z Płocka:

„Gdyby Bernard Shaw był istotnie poetą z Bożej łaski, a nie tylko wirtuozem i często wielkim gadułą, bardziejby się zastanowił nad mojemi argumentami, aniżeli nad moim nosem".

Na „odprawę" bulwarowego Grojseszyka G. B. Shaw nie odpowiedział. Ale już wtedy opanowany pasją na całą rasę Mendozów, odpowiedział gdzieindziej. Gdy mianowicie hiszpański poeta i dyrektor teatru, Grzegorz Martinez-Sierra zwrócił się doń z prośbą o pozwolenie zagrania przez jego trupę „Pygmaliona", wtedy stary pan odpowiedział mu telegraficznie:

„Ponieważ wszyscy przedsiębiorcy teatralni są Żydami i łajdakami, a p. Martinez nie zasługuje na takie określenie, nie mogę mu udzielić pozwolenia na wystawienie mojej sztuki".

Dwa grzyby w barszcz to za dużo. Dwa takie wystąpienia G. B. Shawa to już *affaire*. Teraz sprawa stawała już na ostrzu noża. *Crimen laesae Majufestatis*. Tu już rzecz zaczynała być serjo. G. B. Shaw mógł się „potknąć", pobłądzić, zgrzeszyć, poddać się przelotnym afektom (jednorazowo). Ale taka recydywa zaraz, i to od „łajdaków" zaraz... no nie... tego już za dużo!... Albo, albo? Wóz albo przewóz?

I wtedy przed znakomitym autorem stanęła groźna zmora klątwy, wyklęcia, heremu, anathemy, sabotażu, wpisania go na czarną listę wrogów cywilizacji, kultury, demokracji, piękna, prawdy... Groziła mu globowa *conspiration de silence* wszystkich *Weltbatt*'ów i *Jew-York-Times*'ów, usunięcie z repertuarów, wymazanie z afiszów, potraktowanie go jako cierpiącego „niestety" na uwiąd starczy i zramolizowanie i t. p.

Już miało iść tajne radjo na cały glob: Shaw—*finis—stop*!

I wtedy G. B. Shaw postanowił się jeszcze wyratować, salwować, ocaleć dla nieśmiertelności. Siadł do maszyny i do redakcji wiedeńskiego „*Jud*'a" napisał długi list w tej sprawie. Ukorzył się.

Epistoła Szawło-Gawło-Pawła zaczynała się tak:

„Pisarz angielski zawsze naraża się na to, że na kontynencie może być błędnie zrozumiany, gdy mówi o Żydach. Zaiste, w Anglji niema antysemityzmu, więc pisarz angielski nie ma powodu do dotykania kwestji żydowskiej z największą ostrożnością. Oczywiście że i w Anglji panują wulgarne uprzedzenia przeciw Żydom, podobnie jak wobec Szkotów, Irlandczyków, Walijczyków, wogóle wobec wszystkich obcoplemieńców. Ale antysemityzmu w Anglji niema więcej, niż np. antykaledonjanizmu. Gdy Dickensowi zarzucano, że znieważył naród żydowski, kreśląc Żyda w powieści „Oliver Twist" jako zbrodniarza, autor tak się zmartwił, że w następnej powieści przedstawił Żyda jako wcielenie wszystkich cnót. Wypadek ten świadczy najlepiej o tem, jak angielski działacz społeczny wrażliwy jest na pomawianie o antysemityzm".

Oj, wrażliwy jest angielski pisarz... ale nietylko na pomawianie...

A potem biedna przepietrana znakomitość wszechświatowa pisała sobie grzecznie:

„W porównaniu z narodem Izraela, Europejczycy są parwenjuszami, a nawet barbarzyńcami. Żydzi dali nam religję chrześcijańską, a po dziś dzień dyktują nam prawa w dziedzinie publicystyki, literatury, teatru i finansów. Żydzi dali nam naszych Zbawicieli i rewolucjonistów: Jezusa Chrystusa, Marxa i wreszcie Trockiego, który jest bodaj że największym krytykiem literackim w Europie. Trockij osiągnął to, co nie udało się Napoleonowi, ponieważ łączy w swej osobie człowieka pióra i człowieka czynu".

Oj Bernardzie! drogi Bernardzie! Habakukiem to Ty, mistrzu mój, już nie jesteś i wróżebnej genjalności to ty nie masz... Tyle tylko, że ten twój Bornstein-Trockij „Napoleon..." także teraz trochę na swojej „Elbie" siedzi.

Na końcu listu atoli rzeźki staruszeczek (oby sam Matuzalem) także nie wytrzymał i choć tam niby przepraszał, korzył się, *mea culpa* przedtem mamrotał, Napoleonowi-Bornsteinowi podkadził, to jednak na końcu tak sobie palnął:

„Muszę jednak energicznie wystąpić przeciw t. zw. „projudaizmowi", jak i przeciw antysemityzmowi. Jako Irlandczykowi zanadto dobrze znane mi jest chorobliwie silne poczucie świadomości narodowej, wywołane przez ucisk i prześladowania. Niejednokrotnie w czasie największych prześladowań bojowników o wolność Irlandji, powtarzałem moim rodakom, iż nie powinni uważać się za naród wybrany. Mówiłem im, że cierpienia nie uczyniły ich bynajmniej lepszymi, przeciwnie, byliby może mniej szlachetnymi, gdyby nie fakt, że ich gnębiciele są daleko od nich gorsi. To samo powtórzę Żydom, kiedy tylko nadarzy mi się sposobność ku temu. Zdaniem mojem, niektóre ustępy Biblji, usprawiedliwiające ucisk, a nawet wytępienie ludów, jako czyn dokonany w imieniu Boga, są wysoce szkodliwe. Nauki te są po większej części usprawiedliwieniem bezwstydnego i zbójeckiego imperjalizmu narodów europejskich, zagrażającego całej kulturze współczesnej".

Stop! Finish! Happy End! Wystarczy... Siadaj pan i nic już nie gadaj pan!

Mendoza z „Człowieka i Nadczłowieka", Latzarus z „Majora Barbary", trzy listy do Bernsteina, do Sierry i do „*Jud*'a" całkowicie wystarczają dla mojego dochodzenia przedwstępnego.

Takim „prosemitą" jest G. B. Shaw, urodzony w Dublinie, obywatel W. Brytanji, w której procent Żydów zamieszkałych wynosi 0.3.

Pytanie: Jakim byłby G. B. Shaw jako obywatel Rzeczypospolitej Polskiej?

Odpowiedź: „Hamanem"...

ADOLF NOWACZYŃSKI

Z DZIEJÓW POEZJI TATRZAŃSKIEJ II.

GOSZCZYŃSKI W ZAKOPANEM

LISTY Seweryna Goszczyńskiego, ogłoszone w poprzednim zeszycie „Myśli Narodowej", do dziejów jego twórczości nie dodają faktów nowych, boć to były lata końcowe życia, już nietwórcze. Wszakże żywot człowieka, tak drobiazgowo już znany z lat poprzednich, winien być doprowadzony do końca w myśl maksymy tegoż Goszczyńskiego: „Historja pojedyńczego człowieka, dobrze spisana, jest tak ważna, tak bogata w naukę, jak historja narodu. Nie powinna tylko zatrzymywać się na powierzchni życia, na wyliczaniu suchem wypadków"[1]).

Poruszony w tych kilku listach fragment „podróży życia" poety, życia zawsze poetyckiego, ma w sobie jeden rys głębszy, mianowicie — odżycie w duszy wspomnień tatrzańskich. Goszczyński poznał się z Tatrami w r. 1832. Wrażenia, jakich to doznał, nie miały sobie równych w jego życiu. Doznał tu zachwycenia prometejskiego w pełni dojrzałych sił duchowych, jako człowiek trzydziestoletni. Był to szczyt górski w pasmie jego lat. I pozostał nim, pomimo że wszystko inne, co przeżył, co zdziałał i napisał, zatonęło w nurtach życia religijno-mistycznego, któremu się oddał od r. 1842.

Powrót do świata z tamtych światów, powrót do kraju z obczyzny, powrót do Galicji, w której spędził część najpełniejszego wysiłku lat, był powrotem do

[1]) Ob. w wydaniu Pigonia „Podróż mojego życia". Wilno 1924, str. 89.

gór. Po trzydziestu latach „służby religijnej w Kole Towiańskiego obudził go, jak ze snu, głos, wzywający do kraju. Z nędzy, z osamotnienia, z ociężałości wyrwał go Agaton Giller namową do powrotu i pomocą materjalną. W kwietniu 1872, sprzedawszy swoje ruchomości za 35 fr., wyjechał z Paryża. Obrano mu Lwów na siedzibę, ale poeta zatrzymał się w Krakowie, odrazu planując podróż w góry. Udało mu się tam wyrwać dopiero na sierpień. Wycieczki te wznawia co roku, ciągle w nadziei, że odszuka w sobie dawnego twórcę „Kościeliska".

W maju 1873, pisząc na imieniny do Paryża do Zofji Nabielakowej (żony belwederczyka Ludwika), tak jej donosi o swych losach w Galicji:

„W pierwszych dniach tego roku otrzymałem wreszcie pozwolenie na pobyt w Galicji. Mam mieszkać stale we Lwowie, ale wolno mi przejeżdżać się— i właśnie w pierwszych dniach Czerwca wyjeżdżam w Tatry dla wzmocnienia się górskim powietrzem i dla prac niektórych. W przeszłym już roku przepędziłem tam kilka tygodni. Znalazłem przy życiu całą rodzinę, śród której przebywałem lat temu czterdzieści: dziewczątka, które wtedy na ręku nosiłem, są już dzisiaj matkami rodzin; można sobie wyobrazić, jak spólnie radowaliśmy się. Domek nawet w ogrodzie, który wyłącznie sam zamieszkiwałem, znalazłem w tym stanie, jakbym go wczoraj porzucił. W przejeździe do gór zatrzymam się jaki tydzień w Krakowie, gdzie także mam bardzo liczne i serdeczne znajomości"[2]).

Zanim pojedziemy z sędziwym poetą w Tatry, skomentujmy sobie w paru słowach wzmianki o licznych i serdecznych stosunkach nawiązanych w Galicji. Wyrywały go sobie dwa miasta; Kraków i Lwów nosiły go na rękach. Wnet gdy przybył z zagranicy, 2 maja 1872 urządzono w Krakowie na jego cześć bankiet, na którym sam mówił wyzwany i wysłuchał dziesięciu mów patrjotycznych a hołdowniczych. Przemawiali Wincenty Pol (zmarł pod koniec tego roku), prezes stwarzanej wówczas Akademji Umiejętności Józef Majer, Aleksander Kłobukowski, hr. Gumplowicz, Józef Szujski, Drewnowski w imieniu młodzieży akademickiej, jeszcze raz Pol, Machalski, Leon Chrzanowski, Alfred Szczepański[3]).

Trzymali się na uboc[illegible] prawowici konserwatyści. Był coprawda obecny daw[illegible] towarzysz prac Lucjan Siemieński, teraz konserwatysta, ale nie przemawiał; tembardziej demonstracyjnie nosili się z Goszczyńskim patrjoci, żyjący tradycjami powstań.

Pełno było w Krakowie i Lwowie rodaków z za kordonu, uczestników powstania 1863 r. Ci nadawali ton patrjotyczny wyssanej przez Austrję Galicji. W Goszczyńskim widzieli oni przedstawiciela, i to wybitnego, rewolucji 1830 r. Goszczyński w młodości pracował tutaj w Galicji na to nowe powstanie; dziś wznoszono go jako symbol wieszczenia i bohaterstwa, nie zdając sobie sprawy, że ten wieszcz trzydzieści lat na emigracji kajał się pokutnie za swoją wiarę młodzieńczą w moc fizyczną; za udział swój w walkach zbrojnych.

Na owej uczcie krakowskiej w odpowiedzi swojej poeta delikatnie kierował uwagę biesiadników na potrzebę zdobyczy w życiu wewnętrznem:

„Nie mogę słów znaleźć dla wyrażenia tych uczuć, które mnie dziś przejmują. Jest to najprzód uczucie radości z tego, że po długiem wygnaniu dotykam się ziemi ojczystej w Krakowie, w tem mieście, w którem żegnano mnie, gdym przed 40 laty przemykał się tędy, uchodząc z kraju; uczucie radości z tego, że was tu po tylu latach widzę swobodniejszych, niż wówczas. Dzisiaj od nas tylko zależy, od przerobienia pracą i od wewnętrznego odrodzenia nas samych — lepsza przyszłość Ojczyzny".[4])

Naogół jednak Goszczyński, jak widać zresztą z listów, czuł się trochę znużony pozycją człowieka noszonego na rękach i samym trybem stosunków towarzyskich, od których był odzwyczajony. We Lwowie również nie miał dnia wolnego od wizyt i zebrań. Pragnął ograniczyć się do domów bliższych przyjaciół, jak Bielowscy, Żulińscy, ale przecież wszędzie chciano go widzieć. Z paru notatek to widać. Więc w lutym 1873 notuje: byłem u Bielowskich, 16-go miał wizytę prof. Ksawerego Liskego z żoną, 20-go był na ślubie u pp. Cieleckich, a to znowu obchód Kopernikowski w ratuszu, gdzie deklamuje Ładnowski i t. p. Trzeba było utrzymać stosunki z Kornelem Ujejskim, Janowskim, Podlewskim, Hefernem, żył Józef Supiński, Alfred Młocki, Darowski i w. in. Tem trzeba tłumaczyć na tle rzewności ówczesnych listów nutę jakby skargi: „Bardzo mi tu dobrze, byłbym niewdzięcznym gdybym tego nie czuł", ale w liście do Nabielakowej skarży się wprost, że nie może nic robić, nie będąc nigdy samotnym.

W Tatry wyjeżdżał — jak czytaliśmy w liście do Nabielakowej—„dla wzmocnienia się górskiem powietrzem i dla prac niektórych". Taki był motyw oficjalny, ale w rzeczywistości Tatry nie służyły jego zdrowiu, a prac żadnych nie dokonywał. W Tatry udawał się z tęsknoty do dawnych swoich czasów. Oparcie towarzyskie miał tam w rodzinie Tetmajerów (o niej to pisze w liście do Nabielakowej), mianowicie w rodzinie Adolfa Tetmajera. W pamiętniku swoim pod r. 1832 Goszczyński pisał:

„Szczególna to rodzina (Tetmajerów) w Tarnowskiem — liczna i zacna. Należał do niej Tetmajer (Karol), adwokat w Tarnowie, człowiek bardzo zdolny... Dwóch jego synów było w powstaniu, Adolf i Antoni. Adolf począł zachodzić w bliższy ze mną stosunek młodszego brata ze starszym, co trwało aż do mojego wyjazdu z Galicji. On w tych czasach był przepisywaczem mojego przekładu poematów Ossjana, w jego towarzystwie przepędzałem najwięcej czasu w Łopusznej i odbywałem podróż do Tatrów. Później znaleźliśmy się razem w robotach ważniejszych. Chłopiec z twarzy ładny, z charakteru żywy, lekki, wesoły, obok tego znakomitych zdolności i sposobności do wielkich ofiar — pod dobrym i silnym kierunkiem".[5]) Jemu to i Leonowi Zalewskiemu zostawił pod opieką tajną organizację górali w Tatrach. Adolf w r. 1838 odwoził go tajemnie do granicy, gdy uchodził do Francji.

Przedtem jeszcze, w czasie rewolucji, Goszczyński zbliżył się z Józefem Tetmajerem, z nim przekroczył kordon i u niego w r. 1831 w Mikołajewicach pod Tarnowem zamieszkał. Józef miał brata Leona, ożenionego z Lisicką. Ten gospodarował w Łopusznej na Podhalu. Do niego to z pod Tarnowa pod Nowy Targ przeniósł się Goszczyński w r. 1832 i podróż tę, trwającą trzy dni, opisał w swoim „Dzienniku podróży do Tatrów." Dla Józefa i Leona adwokat Karol był stryjem, Adolf zaś bratem stryjecznym. O jakąś milę od Łopusznej w Ludzimierzu zaczął potem gospodarzyć ów Adolf, ożeniwszy się z Krobicką z Harklowej. Wówczas jednak w r. 1832 Goszczyński razem z Adolfem bawili w Łopusznej u Leona Tetmajera. Goszczyński opisuje Łopusznę i dom w „Dzienniku podróży

[2]) Kopja tego listu znajduje się w archiwum bibljoteki Rapperswilskiej.

[3]) Według dzienników krakowskich z 3 maja 1872.

[4]) „Kraj" 1872, nr. 101.

[5]) Podróż mojego życia, str. 69.

do Tatrów". Jest tam opis i owej altany, o której wspomina w liście przytoczonym wyżej do Nabielakowej.

Ludzimierz był posiadłością mniejszą i skromniejszą niż Łopuszna. Tutaj bawił Goszczyński latem r. 1872 i 1873 po kilka tygodni, odwiedzając oczywiście Łopusznę. W owych latach pierwsza żona Adolfa Tetmajera już nie żyła; pozostał po niej Włodzimierz, późniejszy artysta. W r. 1864 Adolf ożenił się powtórnie z panną Julją Grabowską z Warszawy, którą poznał w Szczawnicy. Rodzice jej mieli posiadłość na ul. Miodowej. Miała brata słynnego prawnika Leona, i dwie siostry, z których jedna wyszła za kompozytora Żeleńskiego, druga za prof. Wł. Kwietniewskiego.

Z tego małżeństwa Adolfa Tetmajera z Julją Grabowską pochodzi Kazimierz Tetmajer, sławny poeta. Kiedy Goszczyński tam przybył, Kazimierz liczył dziewiąty rok życia. Pamięta dobrze, jak to widać z pism, postać protoplasty swojego w poezji tatrzańskiej. Pani Julja Tetmajerowa zmarła w r. 1914. Z listu, który od niej otrzymałem w r. 1894, przytoczę parę urywków:

„Mąż mój kochał pana Seweryna i był z Nim w wielkiej przyjaźni do końca Jego życia. A i on musiał równem uczuciem odwzajemniać mu się, ponieważ pierwszem jego słowem po powrocie z emigracji było: Czy jest tu Adolf Tetmajer? I zaraz przyjechał do Ludzimierza, gdzie miałam szczęście mieć Go u siebie przez parę miesięcy.

„Mąż mój obwoził go po dawnych znanych miejscowościach, razem byliśmy w Zakopanem, gdzie nawet uratował może życie małemu naszemu synkowi, przyjmując go w swoje objęcia spadającego ze stromej góry, a uratował dzisiejszego poetę Kazimierza, którego zawsze nazywał hetmanem".

„Usposobienie ś.p. Seweryna było zawsze nadzwyczaj poważne, małomówne. Wspominał tylko przeszłość, mówił o polityce i pamiętam, że opowiadał, jak gotował sobie obiad podczas Komuny przy ogniu z pism swoich. Sprawy bieżące wcale go poza polityką nie obchodziły. Zwykle przebywał w swoim pokoju, gdzie się zamykał i tylko przychodził na wspólne obiady i kolacje. Łatwo bardzo się wzruszał, łzy miał w oczach za lada objawem serdecznym. Raz, pamiętam, poszedł ze mną i dziećmi na spacer, a szliśmy ponad Dunajcem i patrzyli na pasmo cudnych Tatr. Seweryn pierwszy raz wtedy rozgadał się trochę o sobie. Było to już za drugim Jego powrotem (1873) w domu naszym—i pełen wzruszenia opowiadał, że teraz wszystko, co ma w domu, należy do niego. Obojeśmy się rozpłakali, takie to było wzruszające i smutne, żeby człowiek takiej zasługi i w tym wieku dopiero nad grobem miał swoje własne łóżko i to ofiarowane sobie!

„Ubierał się zawsze w sieraczkowy surdut i trzymał się prosto, wzrostu był dobrego i tuszy dobrej"...

Kazimierz Tetmajer w r. 1901 [6]) tak wspominał Goszczyńskiego z tych czasów:

„Z ojcem moim dozgonną zawiązał przyjaźń i do nas przyjeżdżał na wieś jako starzec już i sławy wielkiej człowiek. Pamiętam go dobrze. Siwy był, rycerski miał wyraz twarzy; choć wówczas przeszedł już był siedemdziesiątkę, krzepki był, odważny i silny. Pracował jeszcze. Ojca mojego, który był od niego o dziesięć lat młodszy, traktował podobnie, jak go musiał traktować w obozie, kiedy sam był podchorążym, a ojciec mój młodziutkim żołnierzykiem w drugim pułku ułanów. Pamiętam, że Goszczyński był bardzo poważny, że miał dziwne wstrząśnienia głowy i ramion wskutek wady sercowej i że lubił chodzić na samotne dalekie spacery.

„Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, kto to był. Wiedziałem, że jakaś szanowna osoba, z którą się daleko więcej ceremonji robiło, niż z księdzem proboszczem, albo z panem Drohojewskim w niebieskim kontuszu z Czorsztyna. Wiedziałem, że z pokoju, w którym mieszkał, wypędzano starannie wszystkich i że nie wolno tam było wpadać, ani wrzeszczeć pod drzwiami. Nie wiedziałem, że jest to człowiek, który znał Mickiewicza i Słowackiego, który sam miał pozostawić po sobie pamięć w literaturze i który będzie dla mnie trwałem i wyjątkowem wspomnieniem przez to, że z jego „Sobótki" narodziła się we mnie chęć do pisania wierszy. „Sobótka" otwarła mi na góry jakiś inny wzrok".

Ciągnęło starego poetę głębiej w góry. Więc z Ludzimierza po tamtej stronie doliny Nowotarskiej zjechał w r. 1873 do Zakopanego, które już wówczas, zanim Chałubiński rozsławił je w Warszawie, ściągało do siebie wiele osób na lato, nie licząc taterników, do których należał już kilkonastoletni Jan Gwalbert Pawlikowski. Mamy w liście Goszczyńskiego z końca lipca 1873 obrazek, jak wyglądało wtedy Zakopane, koncentrujące się koło starego kościoła i księdza Stolarczyka. Byli już wtedy przewodnicy fachowi, jak Maciej Sieczka, u którego mieszkał Goszczyński, lub Jędrzej Wala. Znamy ich z książki Walerego Eljasza, wydanej w r. 1870 [7]). Niewiele się pewno od tego czasu zmieniło do r. 1873. O tej traktjerni, gdzie się żywił Goszczyński, Eljasz pisze w przypisku (s. 178): „Właśnie w czasie druku Przewodnika doszła mnie wiadomość o otwarciu restauracji w Zakopanem poraz pierwszy, co o wiele ułatwi pobyt gościom, udającym się w Tatry bez przyborów kuchennych. Obywatel z Nowego Targu Al. Tretter wraz z Grz. Czernawskim w czerwcu r. b. otworzyli traktyernię w bardzo odpowiedniem miejscu i lokalu koło kościoła Zakopiańskiego w domu Krzeptowskiego".

A co do mieszkań Eljasz pisze, że były wówczas w Zakopanem dwie karczmy, gdzie można było przenocować, ale na dłuższy pobyt górale wynajmują swoje izby. „Pojawiają się od pewnego czasu za przykładem Macieja Sieczki izdebki na pięterku, zwanem tu zwyżką. Płaci się z mieszkania wraz z obsługą miesięcznie od 6 do 10 i 15 guldenów". „Izb do wynajęcia w Zakopanem koło kościoła jest przeszło 50, a na Bystrem 9; wszystko to w 35 domach oprócz gościnnych pokojów w Jaszczurówce" (s. 24).

Pobyt w Zakopanem, mimo wszystko musiał być pociągający, skoro w lipcu było już tłoczno. Tego roku 1873 lato było upalne, pobyt też w Zakopanem przeciągał się w jesień. Goszczyńskiego, jak to widać z korespondencji ówczesnej Gillera, jeszcze w październiku nie można było ściągnąć do Lwowa. Utknął w Krakowie, skąd dochodziły wieści, że kaszle i źle się czuje. W Zakopanem bawili nawet pp. Tetmajerowie i przyjmowali u siebie gości. Był tam wtedy Stefan Buszczyński i obcował z Goszczyńskim. Pisał poemat o Tatrach, drukowany potem w „Sobótce", księdze zbiorowej na cześć Goszczyńskiego, która wyszła we Lwowie 1875 r. Obok podpisu Buszczyński położył napis: „4 września 1873, w chałupie Jaśka Sobczaka Gąsienicy". A wiersz cały był w tonacji patrjotyczno-społecznej:

---

6) „Z wakacji". „Słowo", Warsz. 1901, Nr. 262. To samo w „Skalnem Podhalu" IV.

7) Ilustrowany przewodnik Tatr, Pienin i Szczawnic. 1870. Nakładem Żupańskiego w Poznaniu. Są tam portrety tych przewodników.

Bo jak z gór tych tryskają strumienie,
Tak lud polski podsyca narodu istnienie.

Pani Róża Kruszyńska niewątpliwie już tam będzie robiła ruch koło siebie. Jan Gwalbert Pawlikowski, który nieco później ją poznał, zapytany o nią, taką dał informację:

„Pani Róża Kruszyńska „ukrainka" t. j. z Ukrainy pochodząca i należąca do tamtejszego typu tak swoistego i w swoim czasie modnego, była osobą bardzo uroczą (nie fizycznie) i gromadziła u siebie poetów, muzyków i t. p. Sama bardzo pięknie grała. W Zakopanem u niej gromadzono się na herbatki muzykalne. Grywał tam też Michałowski. Moi rodzice i Tetmajerowie bywali tam bardzo często. My smarkacze (t. j. ja z bratem, Włodzimierz i Kazimierz Tetmajerowie) zapamiętaliśmy ją dobrze, zwłaszcza z lat nieco późniejszych (po r. 1876" [8])... „Do owego kółka w Zakopanem należeli — dodaje Pawlikowski — Stefan Buszczyński, pani Czarkowska, Grudziński (poeta)". W Zakopanem bywali wtedy Landsberg, Władysławostwo Anczycowie, ks. Janota, ks. Sutor (taternik), Asnyk, potem przybyli ludzie z Warszawy (Kenig).

Rys charakterystyczny tego towarzystwa, który zapamiętał Pawlikowski, to sentymentalizm literacko-ukraiński. Był to wpływ szkoły ukraińskiej poezji, której tradycje wlokły się za Goszczyńskim. Panie ukrainizujące nie mogły darować góralom ich śpiewek i próbowały ich uczyć tęsknych dumek. Znane były w owych czasach typy „kozaka", na które pozowali czystej krwi mazurzy. Obecność Goszczyńskiego nadawała tej modzie znaczenia, niewątpliwie uważano, że dla niego samego należy się tak stylizować.

Tymczasem on sam dawno już zapomniał o swym „ukrainizmie". Cóż, że rodził się tam? Krwi był mazurskiej, a teraz niczego innego takby nie pragnął, jak być właśnie góralem, świadomym — jak lud — tajemnicy Tatr, w których się aniołowie Polsce objawiają. On, który całą istnością „wpijał się w swą Polskę i ciałem i duchem, żył jej życiem, drgał każdym prawym ruchem i dzielił swej Ojczyzny wszelkie przeznaczenia" [9]), chciał teraz, wróciwszy w góry, odzyskać dawny ton poetycki. Delektował się wspomnieniami wruszeń, których tu zaznał w młodości. Robił temi wspomnieniami, jak robi skrzydłami niezdolny już do lotu ptak, ale wzbić się ku słońcu trudno bez gorącego dopływu krwi.

Owe „niektóre prace", o których w liście wspomina, to „Kościelisko", które chciał kończyć. Ludzie i dzieła mają swój czas, który mija, ustępując miejsca nowym. Jak te czasy się zmieniały w poezji tatrzańskiej, o tem — na zakończenie — parę słów w następnym artykule.

ZYGMUNT WASILEWSKI

[8]) Pani Róża przyzwyczajona była, żeby ją obsługiwano. A że z gospodarstwem w Zakopanem było krucho, lubiła wysyłać młodzież do Nowego Targu po sprawunki. To im dokuczyło.

[9]) „Posłanie do Polski".

Z AUTOGRAFU TEOFILA LENARTOWICZA

Tobie, coś jawnie przed Bogiem w kościele,
Za Polskę naszą święte podniósł modły,
Którego słowa braci nie zawiodły,
Do nóg się ścielę.

*

Tobie, co jako ofiara wybrana,
Z męczarń narodu stanąłeś kielichem,
I byłeś razem wymownym i cichym,
Ściskam kolana.

*

Tobie, coś w strasznej święcie wytrwał męce,
I wycierpiałeś, jak apostół boży,
Brat, co przed Tobą w prochy się pokorzy,
Całuje ręce.

*

I błaga Ciebie, coś jasny od trudu,
Abyś pamiętał w kościele i w polu,
W imię tęsknoty, ucisku i bolu,
O polskim ludu.

*

Przez twoje więzy i twoje tęsknoty,
Chwile w pojmaniu, gdy cię wróg opętał,
Abyś na wszystkie przed Bogiem sieroty
W modłach pamiętał.

*

Przez Twoje męztwo, wiarę i wytrwałość,
Ja, brat niegodny, błagam Cię, kapłanie,
Zachowaj w sercu, aż Polska powstanie,
Ojczyzny całość.

*

A mnie, co patrzę w twój żywot, jak w słońce,
Nim na ojczyste, da Bóg, wrócę niwy,
Wolnością jasne i zbożem szumiące, —
Bądź miłościwy.

TEOFIL LENARTOWICZ

Florencja, 22.I.63.

Od Redakcji: Autograf tego pięknego wiersza przechowywał się u p. M. Rewolińskiej w Radomiu, dzisiaj zaś znajduje się w zbiorze p. Józefa Zaborskiego w Warszawie.

NR. 19 „MYŚLI NARODOWEJ" SKONFISKOWANY ZOSTAŁ Z POLECENIA KOMISARJATU RZĄDU Z POWODU ARTYKUŁÓW: „LIBERUM VETO" ALEKSANDRA ŚWIĘTOCHOWSKIEGO, „WSPOMNIENIA" WŁODZIMIERZA WŁODARSKIEGO I „OFENZYWA" ADOLFA NOWACZYŃSKIEGO.

RĘKOPISY POWYŻSZYCH ARTYKUŁÓW REDAKCJA PRZECHOWUJE JAKO CENNY DOKUMENT HISTORYCZNY, INFORMUJĄCY, CO Z ROZPORZĄDZENIA WŁADZ PODLEGAŁO KONFISKACIE PRASOWEJ W WARSZAWIE, W MAJU R. 1929.

LIBERUM VETO

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

BARBARZYŃSKA TEORJA WYSP

NIEMIECKIE poczucie narodowe wyraziło się w sposób stylowy morderczym napadem w Opolu na Polaków, pragnących wykonać i usłyszeć „Halkę" Moniuszki. Oglądamy teraz w dziennikach fotografje poranionych i chorych. Ponieważ stosunki międzynarodowe w Europie naciągane są przez Ligę Narodów na najwyższy ton braterskiej miłości, wiary w dobrą wolę Niemiec i nadziei na pokój powszechny, więc tem efektowniej na tem tle uwydatnił się skandal niemiecki. A skandaliczność tego faktu polega na ujawnieniu, że w środku Europy w 20-m stuleciu może istnieć pod pokrywką wysokiej cywilizacji najniższego typu barbarzyństwo. Rzecz godna uwagi nie tylko polityków, ale antropologów.

Jak się to może dziać, że cywilizacja nie przenika Germanów w ich istocie moralnej, lecz służy tylko bogactwu i zewnętrznej wygodzie? Znajdujemy odpowiedź na to pytanie w liście „Penklubu" berlińskiego do „Penklubu" warszawskiego. Po wypadkach w Opolu literaci niemieccy z owego klubu przesłali literatom warszawskim kilka słów ubolewania, a mianowicie:

> „Penklub niemiecki potępia jaknajostrzej zamach niskiego ducha, dokonany w Opolu na wymianę narodowych wartości artystycznych. Wyrażamy nasze ubolewanie kolegom polskim. Mamy nadzieję, że starania nasze stworzenia bardziej ludzkiej atmosfery między narodami nie zostaną narażone na szkodę prze głupie wybryki zbałamuconych. W ocenie zamętu europejskiego sztuka jest wyspą. Nie powinniśmy pozwolić na to, ażeby mętne fale, kierowane przez podżegaczy, zalały ją".

Literaci niemieccy popisują się wyobrażeniem, że sztuka jest wyspą wśród mętnych fal życia. Istnienie „penklubów" oparte jest na tej idei; ta idea jest zasadniczym motywem propagandy sztuki uniwersalistycznej. Literaci niemieccy nie biorą odpowiedzialności za kulturę swego narodu, oczywiście tembardziej za jego politykę. Naród — sobie, literatura — sobie. Bo cóż może poradzić wyspa na grę żywiołu, którego jedna fala chlusnęła w Polaków? W imieniu narodu swojego nie mają nic do powiedzenia Polakom; rozmawiają zresztą o tym wypadku nie z Polakami, lecz z wyspą literacką warszawską. Rozmawiają ponad narodem swoim i naszym.

Skoro tak jest, skoro literatury są osobnemi od całości życia bytami, to co oznacza—jeśli nie obłudę—frazes „o staraniach naszych stworzenia bardziej ludzkiej atmosfery między narodami". W jakiż to sposób „wyspa" na morzu narodowem może kierować życiem narodu i stwarzać między narodami atmosferę ludzką? Co najwyżej może tą atmosferę tylko zaperfumować literaturą.

Atmosfera między narodami będzie akurat tyle ludzka, ile będą ludzkie narody. Narody zaś będą wtedy ludzkie, kiedy będą uważać swoje funkcje duchowe, jak literatura, sztuka, obyczajowość i t. p. za działalność twórczą organiczną. Nie o wyspach może tu być mowa, lecz chyba o jakichś gruczołach. Literatura „Penklubów" tak siebie traktuje, jakby ona była celem życia cywilizacyjnego narodów, gdy tymczasem ona jest jego funkcją.

Przy materjalistycznem pojmowaniu życia wszystkie dziedziny ducha przybierają mimowiednie postać autonomiczną, skazaną na wyschnięcie, bo poza obiegiem krwi wegetującą. To samo się dzieje z religją, odśpiewywaną w automatycznych hymnach, a nieprzenikającą dnia powszedniego. Jedynie nauka w Niemczech, dająca się praktycznie zastosować, zawarła ścisły z życiem związek na użytek przemysłu i wojny, więc tylko na to, aby spotęgować siłę materjalną narodu. Ta siła materjalna przerasta siłę duchową ludzi, działa swoim ciężarem, przemawia przez ludzi nie duchem ludzkim, lecz zwierzęcą żądzą. W takiej cywilizacji niema gdzie zrodzić się refleksja, że nie godzi się domagać cudzej własności dlatego tylko, że się ma brzuch żarłoczny. Przy takim obrocie rzeczy w cywilizacji niemieckiej wogóle na życie duchowe nie będzie miejsca, a najsłabsza będzie literatura; bodaj jedyny jej ratunek, że się oddzieli od życia, jak wyspa. Ale zdawać sobie trzeba sprawę, że to jest nieszczęście cywilizacji, nie zaś zdobycz, którąby powinny naśladować narody zdrowe psychicznie.

Dzisiejsze Niemcy, funkcjonujące na prawach materji, nie na prawach ducha, są naturalnym sprzymierzeńcem tych kombinatorów, którzyby z Polski chcieli uczynić bezwładny teren geograficzny bez pana, jakim jest naród. Byłby to oczywiście teren ekspansji niemieckiej. Czyby to przeszkadzało istnieniu polskiej wyspy literackiej? Bynajmniej. Istniałby przecież element etnograficzny polski, przynajmniej do czasu i „Penklub" prosperowałby w „ludzkiej atmosferze" niemieckiej, jak gdzieś na Łużycach.

Wszystko, co się robi w Polsce w celu odebrania charakteru narodowego państwu, gospodarstwu, nauce, sztuce i literaturze, obyczajom, moralności, nawet Kościołowi, zmierza do odebrania duszy cywilizacji polskiej i do zabicia Polski jako organicznej osobowości twórczej.

Polska albo będzie jednością psychiczną, którą przenika duch twórczy, świadomy swych funkcyj i przez nie harmonijnie wspierany, albo Polski nie będzie. Polska, jako archipelag wysp z autonomicznemi interesami, istnieć jako państwo nie może. Utrzymać ją przy życiu zdoła tylko myśl narodu. A ta przejawia się w literaturze przedewszystkiem. I literatura niesie za tę myśl odpowiedzialność. Bo cóż ona warta, jako czynnik kultury, jeśli nie ma wpływu na postawę duchową narodu?

Polska ze swoją ludnością nawet na niższych szczeblach oświecenia, ze swoją młodzieżą w ogniskach oświaty, władająca sobą solidarnie, ożywiona duchem prawdziwie narodowym (nie instynktem żarłoczności) ma prawo czuć swoją wyższość cywilizacyjną nad Niemcami, chociaż uboższa materjalnie. I to jest właśnie naszą siłą, że nasza twórczość duchowa dotąd nie wyspą była, lecz wykładnikiem fali życia historycznego.

Z. W.

WSPOMNIENIE

stowarzyszenia, które odgrywa wielką rolę w dziejach naszej kultury od pół wieku. Nabierze on jednak innego znaczenia, jeżeli uprzytomnimy sobie, że przez ostatnie trzy lata obecne sfery kierownicze bojkotowały T.N.S.W., prześladowały jego członków, traktowały wszelkie postulaty towarzystwa w sposób wrogi i wywierały nacisk (Kuratorjum Lwowskie) na wizytatorów i dyrektorów, by się z niego wypisywali, całą natomiast życzliwość okazując skrajnie lewicowemu Związkowi Zawodowemu Nauczycieli Szkół Średnich, który też stał się wylęgarnią wszystkich świeżo mianowanych dygnitarzy szkolnych.

Cóż więc się stało? Możliwe są dwa wyjaśnienia tej nagłej zmiany frontu. Nie jest oczywiście wykluczone, że postanowiono zdobyć dla „sanacji" wpływy w potężnem towarzystwie, przez taką nic nie kosztującą i do niczego nie obowiązująca grzeczność oficjalną osłabić opozycyjny nastrój i powoli opanować opinję nauczycielstwa szkół średnich, które nie dało się steroryzować dotychczasowym metodom gwałtownym i stanowiło poważny element niezależny wśród nastraszonego społeczeństwa.

Jest jednakże również możliwe, że Ministerstwo naprawdę, bez żadnej myśli ukrytej mącenia, pragnie pozyskać sobie pomoc Towarzystwa w wielkiem dziele wychowawczem. Przekonano się, że dotychczasowe metody zawiodły, że nastroje wśród młodzieży są coraz bardziej wrogie, że narzucone gwałtem uczucia „entuzjazmu" wywołują coraz silniejszy wewnętrzny opór wśród nauczycielstwa i młodzieży, słowem zrozumiano, że bez wewnątrznego przekonania i zapału wychowawców nie da się przeprowadzać dzieła wychowawczego. Stare to prawdy, i aż wstyd, że potrzeba było aż trzech lat niepowodzenia, aby do nich powrócić.

Ludzie dobrej woli mogą tylko cieszyć się, gdyby ta druga możliwość okazała się prawdziwą. Wprowadzenie szczerej atmosfery w pracę nauczycielską jest tak ważnym czynnikiem w wychowaniu przyszłych pokoleń i budowie naszego państwa, że utworzenie jakiegoś „*Treuga Dei*" w szkole byłoby w tych czasach ponurych jasnym i podniecającym promieniem. Dalsze tygodnie przyniosą nam odpowiedź. Jeżeli bowiem istotnie Ministerstwo pragnie współpracy, to nie zatrzyma się na zewnętrznych formułach grzecznościowych. Trudno podejrzewać poważnych ludzi o taką naiwność, żeby przypuszczali, iż jedno czy dwa przemówienia, poza któremi nie będzie faktów, mogą zmienić psychikę nauczycieli. Nie — muszą te fakty nastąpić, musi ustać prześladowanie ludzi najzacniejszych tylko dlatego, że nie krzyczą „hurra" w dniu 19 marca, musi nastąpić odwołanie krzywdzących przeniesień i zwolnień licznych nauczycieli, dyrektorów, wizytatorów, którym można zarzucić jedynie to właśnie przestępstwo, musi ustać demoralizujące oddawanie stanowisk kierowniczych ludziom nieodpowiednim, jedynie dlatego popieranym, że umieją krzyczeć głośno oficjalne „hurra"...

T. D.

WŁODZIMIERZ WŁODARSKI

WYCHOWANIE NARODOWE

OCZEKUJEMY CZYNÓW

Na ostatniem walnem zebraniu Tow. Naucz. Szkół Wyższ. był obecny P. Prezydent Rzeczypospolitej, przemawiał Minister W. R. i O. P. i Wiceminister.

Ten udział oficjalny najwyższych dygnitarzy państwowych byłby w zwykłych warunkach zupełnie zrozumiałym wyrazem uznania dla zasłużonej działalności

NAUKA I LITERATURA

WESOŁA WIEDZA

W ROKU ubiegłym wyszła w Poznaniu bardzo znamienna książka profesora uniwersytetu Michała Sobeskiego p. t. „Z pogranicza Sztuki i Filozofji". (Fiszer i Majewski. Str. 268). Nie wiem, czy kto zwrócił na nią baczniejszą uwagę, na co w zupełności zasługuje, nie tylko dlatego, że autor jej zwala na czytelnika lawinę przeróżnych faktów i informacyj z dziedziny sztuki, literatury, filozofji (Skorowidz nazwiskowy książki obejmuje około tysiąca nazwisk samych), porusza

tu moc spraw i zagadnień, związanych z twórczością artystyczną, wogóle duchową—dawniejszą i teraźniejszą—całej niemal Europy, lecz i dlatego, że robi to wszystko w sposób, że się tak wyrażę — biurokratyczny.

Są autorowie, którzy tak samo sprawują swój zawód, jak urzędnicy państwowi np. w biurach swoich, t. j. z równem zainteresowaniem, czy też z jednakową obojętnością zajmują się tem, co stoi na porządku dziennym. Byle być w biurze, byle odrobić swoje i spełnić swój obowiązek. To, oczywiście, bardzo pięknie, gdy wchodzi w grę poczucie obowiązku, częściej jednak bywa, że tu działa nałóg, przyzwyczajenie do pewnego rodzaju pracy, pomijając nacisk wszelkich konieczności życiowych.

Mam wrażenie, że autor wspomnianej książki zachowuje się nakształt pracownika biurowego: codziennie odrabia skrupulatnie to, co stoi na porządku chwili. Dzisiaj np. sprawę „ezoteryzmu Dantego", czy też wpływu Islamu na „Boską komedję"; jutro może być futuryzm włoski, pojutrze o poezji i estetyce francuskiej, potem o rozmaitych „kubizmach, dadaizmach, nadrealizmach" itp. ostatnich dreszczach twórczych naszych czasów; następnie nieco z „psychologji Galji", a jak nie, to o Przybyszewskim, albo o „estetyce architektury nowoczesnej", o literaturze benedyktyńskiej, o „sercu Woltera", o sztuce kulinarnej w Paryżu *etc, etc*... i tak przez wszystkie dni niejednego roku.

Dodać trzeba, że tego rodzaju sprawy „z pogranicza sztuki i filozofji", których czastkę tylko nazwałem, autor rozważa z jednakowem namaszczeniem, jakby wszystkie one miały w oczach jego równą wagę i znaczenie.

Czuć w tem jego wzięciu się do pracy podwójne zadowolenie: nasampierw z powodu, iż ma do czynienia z nieprzebraną rozmaitością przedmiotów, że każdy dzień jest czem zająć, a następnie, że rozprawiając o nich nie jest narażony na większy wysiłek duchowy i nie doznaje wobec nich zakłopotania, słowem że wszystko idzie jak z płatka i pociąga za sobą przyjemność. Tem poczuciem zadowolenia z doznanej w pracy przyjemności, oraz z możności jej wykonywania, odzywają się wciąż karty tej książki, której autora można nazwać wskutek tego przedstawicielem wesołej wiedzy, naturalnie nie w znaczeniu średniowiecznej „*gaya scienza*", lecz dlatego, że ona bawi, chociaż jest obowiązkową, urzędową. Słusznie więc sam autor gdzieś powiada: „nauka jest krynicą najczystszej radości"!!! Aforyzm nie jest zbyt oryginalny, usposobieniom jednak autora daje pełny wyraz. Wprowadzenie czynnika osobistej przyjemności do urzędowego „odrabiania" tego, co stoi na porządku dziennym jest rzeczą nader pożądaną w czasach rozpanoszonego biurokratyzmu. Książka prof. Sobeskiego, aczkolwiek poczęta z ducha biurokratycznego, stała się, wskutek tego czynnika, mniej urzędową, mniej protokularną.

Tego, co wyżej powiedziałem o charakterze pracy prof. Sobeskiego, nie należy brać w sensie ujemnym dla niego, można bowiem i w ten sposób pracować z pożytkiem nietylko „na pograniczu sztuki i filozofji", lecz i w ich obrębie. Ostatnia książka autora wielu prac z dziedziny estetyki nie jest bez pożytku. Dostarcza ona czytelnikowi przedewszystkiem mnóstwa informacyj o faktach i zjawiskach literackich, artystycznych i naukowych, o których mówi się u nas wprawdzie dość często, gdyż należą do rzeczy modnych, najczęściej jednak rozprawia się o nich bez należytej znajomości przedmiotu. Autor książki jest dobrym informatorem, korzysta ze źródeł pewnych, sam stara się o wiadomości z pierwszej ręki i niemi dzieli się z szerszym ogółem. To jest już niemała zasługa, u nas bowiem potrafią gawędzić o wszystkiem, wiedząc o tem bardzo mało lub wcale. Autor umie bardzo dużo, oczytanie ma ogromne, interesuje się niemal wszystkiem, co wchodzi we wspomniane dziedziny, stąd też taką obfitość i rozmaitość przedmiotów zawarł w swojej książce. Czytelnik ma w czem wybierać: jeśli czemś już się interesował, to tu zaspokoi swoją ciekawość, jeżeli jeszcze o czemś nie słyszał — tu się o tem dowie.

Autor jest również niezłym sędzią w materjach estetycznych — przecież jest profesorem estetyki — tu jednakże niezawsze sąd jego odznacza się pożądaną wyraźnością i stanowczością. Zapewne zależy to od nieuchwytności i niewykończoności kształtów rzeczy, o których sąd wydaje, ale także i od tego, że autor należy do tych szczęśliwych natur, które potrafią wycisnąć „z samego djabła olejek dobroczynny" — jak powiada Szekspir.

Wyciska więc starannie tego rodzaju „olejek" z najbardziej „niesamowitych" kierunków i skłonności twórczych, z tych rozmaitych „formizmów i konstruktywizmów, unanimizmów i nadrealizmów", w nadziei, że i ludzkość doczeka się kiedyś pociechy.

Wogóle niema tak „niesamowitej" rzeczy, którąby mogła odebrać autorowi pogodę ducha i zniechęcić do pisania o niej, niema bowiem takiej, z którejby nie potrafił czegoś „wyczarować", że użyję jednego z lubych jego wyrażeń. I to jest jeszcze jedna, bardzo cenna, jego właściwość jako pracownika. Jest on nieleniwy, ciekawy, wiele umiejący, poważny i radosny zarazem, namaszczony i nonszalancki; gruntownie naukowy i fejletonowy, posiada słowem moc przymiotów, które go czynią panem i władcą nad ogromem rzeczy i zjawisk, dają mu rozkosz osiągania „jedności w rozmaitości" — pozwalają słowem być w zgodzie z powołaniem i fachem estetyka.

Tym cennym przymiotom nie zaszkodziłoby jednak trochę więcej niebiurokratycznej duszy.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Bohaterem nowej powieści Józefa Weyssenhoffa p. t. „Jan Bez Ziemi" nie jest nadawca angielskiej Wielkiej Karty. Jest nim p. Jan Skumin, trzydziestoparoletni ziemianin litewski, którego rząd kowieński za opcję na rzecz Polski wyzuł z magnackiej ojcowizny. Innych kwalifikacyj do podciągnięcia go pod wspólny mianownik z bratem Ryszarda Lwie Serce nie posiada. W pierwszej części książki romansuje z bogatą kuzynką, w drugiej żeni się z poważną panną, stoczywszy przedtem nieszkodliwy pojedynek i otrzymawszy posadę w Ministerjum Spraw Zagranicznych.

Ale mniejsza o bohatera i perypetje romansowe. Sympatyczna postać tego młodzieńca urodziwego, rasowego, kulturalnego, wykształconego, rycerskiego etc. została sportretowana na tle pejzażów wielkopolskich oraz widoków miasta Poznania. Tło w tem malowidle powieściowem ważniejsze jest bez porównania, niż figura tytułowa.

Weyssenhoff obdarzył Wielkopolskę, mówiąc metaforycznie, cennem zwierciadłem, w którem była dzielnica pruska ujrzy odbicie wszystkich swoich zalet, cnót i wdzięków. Wdzięki te mniej są malownicze od wdzięków puszcz litewskich. Las, sadzony racjonalnie i symetrycznie, mniej ma uroku od nietkniętego siekierą matecznika, ale idealnie gładkie zwierciadło nieskazitelnej prozy Weyssenhoffa odbija krajobraz tak czysto, że przyglądamy się mu z niemniejszą radosną, niż oglądanym niegdyś w czarodziejskiem lustrze tego samego pochodzenia—borom zaniemeńskim.

Weyssenhoff zamierzył napisać romans w pojęciu dawniejszem, zlekka modernizowany, a wykonał ten zamiar tak biegle delikatnemi pastelami i z taką świadomością artystyczną celu, że czytelnik polski dumny jest z autora, przodującego od tak dawna powieściopisarstwu polskiemu.

*

Nr. 4 „Awangardy", znakomicie redagowanego miesięcznika Młodych O.W.P., zawiera: „Po zgonie Wielkiego Wodza", St. L—skiego: „Państwo narodowe a problem mniejszości w Polsce", Zdzisława Stahla: „Odebrać ludności—oddać narodowi", Ryszarda Piestrzyńskiego: „Podstawa nowoczesnego i narodowego ustroju" i „Nasza książka", Jana Mosdorfa: „Typy społeczne jako wynik wychowania ugrupowań politycznych", Zofji Żółtow-

skiej: „Najważniejsze formy sądownictwa pracy“, Jana Zdzitowieckiego: „*Carta del Lavoro*“.

Następuje przegląd miesięczny, dział recenzyj z książek oraz kronika organizacyjna Ruchu Młodych.

Prenumerata roczna „Awangardy“ wynosi 10 zł., półrocznie 5 zł. Dla młodzieży ceny są o połowę niższe. Konto czekowe P. K. O. 203851: Adres: Poznań, Św. Marcina 65.

*

Wydany na dzień 3 maja zeszyt „Tęczy“ godnie uczcił święto narodowe. Doskonałe są ilustracje i mnóstwo ciekawych artykułów. Ze stanowiska literackiego zaznaczyć należy artykuł prof. St. Pigonia o „Veni Creator“ w przekładzie Mickiewicza, dalej wspomnienia o Z. Szcz. Felińskim arcyb., artykuł o Nieszawie jako kolebce St. Noakowskiego (z piękną planszą), Wspomnienia polskie w Padwie J. Pietrzyckiego, Dwa miasta włoskie (Siena i s. Giminiano) M. Boberskiej, Szymon Szymonowic Krzowskiego, o historji malarstwa polskiego M. Samlickiego, o siedzibie Paderewskiego w Morges i bardzo ciekawy szkic Maryli Wolskiej o miłości Matejki (z planszą). Pozatem wiele innych, kilka poezyj, a wszystko niemal ilustrowane.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Pierwsze trzy zeszyty zdawna zapowiedzianego miesięcznika „*Slavische Rundschau*“ ukazały się w Pradze. Treść mają bogatą, choć niekiedy — mimo pewnej szablonowości — nieco chaotyczną, tak w recenzjach jak i w bibljografji omówiono niekiedy rzeczy drugorzędne lub nieciekawe, pomijając istotne i ważniejsze. O ile dział czeski jest opracowany doprawdy wzorowo, o tyle w polskim widać poważne niedociągnięcia, ba nawet błędy i niedorzeczności. Obok wartościowych artykułów Szydłowskiego (o średniow. arelitekturze pol.), Szyjkowskiego i Zb. Grabowskiego spotyka się ramoty nudne i bezwartościowe. Niepotrzebnie kompromituje się redakcja „*Sl. Rundschau*“ — poważnego przecie pisma — angażowaniem współpracownika tak lichego, jak osławiony Leon Pomirowski (*recte* Pomper), o którego książce „Doktryna i twórczość“ wyraził się wybitny uczony, profesor uniwersytetu warszawskiego, że rzeczy podobnie głupiej nie zdarzyło mu się czytać w życiu. Artykuł owego Pomirowskiego noszący tytuł „Droga i cel polskiej krytyki literackiej“ jest karygodny już przez samą swą stronniczość, albowiem mówi w nim p. P. tylko o swoich osobistych przyjaciołach (wśród nich o osobach tak podrzędnych, jak Hulka Laskowski, Breiter, Bronowicz, Baczyński—autor popularnych „kluczów“ uczniowskich do Sienkiewicza, obarczonych licznemi błędami), pomija zaś Borowego, Grzymałę Siedleckiego, Wasilewskiego, Skiwskiego i wielu innych. Artykuł pełen jest płytkiej blagi i werbalizmu.

*

W wydawanej przez paryską firmę Plon serji p. t. „*Le roman des grandes existences*“ uwzględniono wybitne osobistości wielkiej rewolucji francuskiej. Dotychczas okazały się tomy poświęcone działaczom takim, jak Mirabeau, Robespierre i Desmoulin. Obecnie wydano rzecz p. t. „*Le bon Monsieur Danton*“, autorem jej jest p. Jacques Roujon. Postać wielkiego demagoga i trybuna, mającego jednak w swym umyśle i charakterze przebłyski męża stanu, przedstawiona jest bardzo wyraziście i żywo. Nie można jednak powiedzieć, by z książki—trzymanej zresztą w tonie bardzo objektywnym — przebijał wielki szacunek dla Dantona. W stosunku współczesnych pisarzy francuskiej do rewolucji i jej przywódców brzmi już inna, niż dotychczas, nuta. Mimo wszystko jednak był Danton typem nawskroś francuskim, a jego realizm polityczny i przywiązanie do ojczyzny, gdyby był żył dłużej, być może doprowadziłyby go do równowagi politycznej i moralnej.

*

„*La Marche funebre*“, to tytuł ostatniej powieści Claude Farrère'a. Izabela Hennebout poślubia Pawła de La Bohelle, ale jest to tylko małżeństwo pozorne, gdyż mąż jej jest kochankiem jej matki. Izabela w czasie podróży poślubnej dowiaduje się przypadkowo o tej tragicznej prawdzie. Najpierw myśli sobie odebrać życie, potem informuje ojca, wyższego oficera, jedynie zajętego swoją karjerę i nie żyjącego z żoną. Pan Hennebout wymusza na niej oddalenie młodej pary. Jadą oni na Antyle, gdzie Izabela spotyka młodego malarza, Fred Prahecq, który dawniej starał się o nią i jeszcze ją kocha. Młoda kobieta nienawidzi swego męża i namawia Freda do zabicia go w czasie polowania, co wziętoby tylko za wypadek. Ale Fred nie potrafi być mordercą. W międzyczasie jednakowoż uczucia Pawła de La Bohelle zmieniają się i zaczyna on istotnie kochać swą żonę, stając się jej prawdziwym mężem. Wybucha wojna. Fred i Paweł powracają do Francji. Traf chce, iż spotykają się na froncie, a wówczas malarz, przypominając sobie, że chciał zabić de La Bohelle, przyjmuje na jego miejsce niebezpieczną misję, ale jest tylko raniony, podczas gdy mąż Izabeli ginie w okopach. Izabela udaje się do szpitala, gdzie znajduje się Fred. Przy jego łóżku spotyka swą matkę w grubej żałobie, która na widok córki mdleje, a ta oddala się pełna nienawiści, ale i cierpienia. Dowiadujemy się później, że i pan Hennebout umiera. Ale naukę moralną z tego dramatu wyciągnie japoński lekarz, tłumacząc nam zarazem tytuł, nieco tajemniczy, tej powieści, jakkolwiek nie brakuje w niej nuty żałoby. Zdaniem bowiem jego, na zachodzie każdy pragnie przeżyć swe życie, nie interesując się losem innych. To też śmierć jedna drugiej nie jest podobna. Inna bowiem jest śmierć zbuntowanych istot, którzy nie starali się być ani synami swych ojców, ani ojcami swych synów, a których wskutek tego całe życie jest jednym marszem pogrzebowym.

*

W chwili, kiedy rozeszła się właśnie wiadomość, iż w belgijskim Kamerunie została zabita kobieta-małpa, p. Horace Van Offel, publikuje u wydawcy Albin-Michel interesującą i zabawną opowieść p. t. „*Sylvia et le Cremnosate*“. We wsi flamandzkiej, w bogatej willi żyją cudzoziemcy, których od czasu do czasu spotykają jej mieszkańcy. Ale o ile kobieta jest piękną, mężczyzna odstraszający. I oto pewnego dnia, miejscowy proboszcz i lekarz, zaskoczeni burzą, zmuszeni są schronić się do tej willi. Właścicielka jej podejmuje ich nadzwyczaj gościnnie, a wreszcie spowiada się przed nimi, opowiadając swe życie, gdyż potrzebuje rady jednego i drugiego. Sylvia, córka króla brzytew, multimiljonera, w czasie jednej ze swych podróży wylądowuje na odludnej wyspie. Zanim przyjdzie im jaki statek z pomocą, organizują swe życie. Ale na wyspie tej żyją „*cremnosates*“ t. j. monstra w rodzaju ludzi—małp. Na zbadanie ich przybył w swoim czasie uczony amerykański, którego jednak potem nikt nie widział. Na wiosnę atoli wszyscy popadają tam w dziwną chorobę zdziczenia. Wówczas to Sylvia, uprowadzona w lasy, staje się żoną małpy—człowieka i z nim powraca najpierw do Ameryki, a potem kryje się w Europie. Jednakowoż w ostatniej chwili, mamy rozwiązanie tej zagadki: mąż Sylwii nie jest małpą, ale owym uczonym amerykańskim, który zdziczał na wyspie.

TEATR

KRASZEWSKI NA SCENIE

DAWNO nie widziany na scenie „Radziwił Panie Kochanku“ J. I. Kraszewskiego ukazał się w teatrze Narodowym z M. Frenklem w roli tytułowej. Nie zdołano ożywić tego dzieła artystycznie, a staromodny fason sztuki domagał się usprawiedliwienia przed publicznością dzisiejszą. Przedstawienie nie było dostatecznie przygotowane, co ujawniło się w tem, że grano w dwa głosy z suflerem.

PROPAGANDA ZA 3 GROSZE

W teatrze Polskim wystawiono pod tytułem „Opera za 3 grosze“ jakąś przeróbkę ze starego, widowiska wodewilowego angielskiego (1782) Johna Gaya. Polska odmiana powstała z odmiany nowożytnej niemieckiej. Niemcy z lubością antymonarchiczną tendencję sztuki obrócili przeciwko całej Anglji. My to wszystko przyjęliśmy razem z muzyką *jazzband*'ową, zaostrzyliśmy tylko pikantny sos bolszewicki: Cokolwiek kiedyś było w tej sztuce, dziś mamy po niej tylko smak bolszewizmu. To jedno rozniesiono z teatru po domach. Cały styl i duch bolszewicko-żydowski i w muzyce i w dekoracji, zwłaszcza w piosenkach, które robił mający już swoją opinję Wł. Broniewski.

Tendencja bolszewicka tak forsownie dorobiona do starego sztuczydła angielskiego, że aż bez sensu. Rzecz dzieje się w środowisku nie ludzi ubogich, lecz upadłych moralnie: żebracy zawodowi, złodzieje i prostytutki. A po polsku teatr zwraca się z morałem do publiczności:

— Widzicie co się dzieje. Dajcie biednym żarcie, a o moralności potem pogadamy.

Takiej maksymy nie wolno narzucać publiczności chrześcijańskiej.

Widzowi kulturalnemu w takim teatrze robi się bardzo smutno: nie można zaufać żadnej instytucji, czy od jutra nie będzie niszczyć cywilizacji z tym samym nakładem pracy, który wczoraj poświęcała budowaniu tej cywilizacji.

Sztukę takiemi dziełami, jak to, jak dzieła Słonimskiego i Hemara niszczy się gruntownie, ale od dalszych spustoszeń powinna powstrzymać swawolnych opinja publiczna.

Z. W.

OFENSYWA

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Dnia 21 lutego r. b. otwarto w Warszawie wystawę współczesnej sztuki niemieckiej (właściwie tylko grafiki, uzupełnionej niewielką liczbą akwarel i rzeźb). Jak donosiła „Epoka“: „Na uroczystość przybyli p. prezes rady ministrów prof. Bartel, minister spraw zagranicznych p. August Zaleski, W. R. i O. P. — dr. Świtalski, rolnictwa — Niezabytowski, reform rolnych — prof. Stanlewicz, pods. stanu w M. S. Z., dr. A. Wysocki“. Sprawozdanie z przebiegu uroczystości (niezależnie od sprawozdania artystycznego z samej wystawy) zajęło w półurzędowej „Epoce“ — 258 wierszy druku pod trzyszpaltowym tytułem.

Dnia 26 marca r. b. odprawione było w katedrze warszawskiej nabożeństwo żałobne za spokój duszy ś. p. marszałka Ferdynanda Focha. Jak doniosła „Epoka“ — „Prezydenta Rzeczypospolitej reprezentowali szef kancelarji cywilnej p. Lisiewicz oraz szef gabinetu wojskowego p. pułk. Głogowski“. Dziennik „Głos Prawdy“ w sprawozdaniu z tegoż nabożeństwa nie wspomniał wogóle o obecności przedstawicieli Prezydenta Rzplitej, doniósł natomiast, iż „szefa rządu reprezentował p. minister gen. Składkowski“. Minister spraw wojskowych również nie był obecny na tem nabożeństwie.

Dnia 28 kwietnia r. b. nastąpiło w Paryżu uroczyste odsłonięcie pomnika Adama Mickiewicza na placu Alma.

Dnia 30 kwietnia r. b. bojówka niemiecka bestjalsko napadła i pobiła polskich artystów operowych, przybyłych do Opola celem odegrania „Halki“. Interesujące zbiegi okoliczności!

*

Toczy się walka w obronie Kościoła katolickiego od ataków żydowskich, dokonywanych ręką gojów. Pan Widz (Wassercug) podżega i... ośmiesza, wiedząc, że Polacy boją się śmieszności. Więc zaczyna swój nudny fejleton: „Jakiś półanalfabeta napisał, że stawia Boya-Żeleńskiego pod pręgierz... Poczucie komizmu jest wśród czytelników gazet słabo rozpowszechnione. Dlatego półanalfabeta może stawiać znakomitego pisarza „pod pręgierz“... itd.—nie warto zresztą czytać. To jest stała metoda. A sam Widz jakże jest komiczny ze swoją sztywnością, jakby miał pełne naczynie tego—jak się to nazywa—faj... na głowie... Taki dystyngowany, jak agent handlu z Argentyny w towarzystwie dam.

SPROSTOWANIE

W artykule „Jeszcze o wykształcenie kobiet“ w nr. 18 „Myśli Narodowej“ w. 14 szp. 1 str. 285 zamiast „np. handlowych“ powinno być „dyplomów naukowych“.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, za granicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15, PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM